

# Strażnik ambitnego kina

**Powiedziałem sobie: Mariuszkule, weź odpowiedzialność za coś konkretnego - nie za siebie, nie za Oscary, których nie dostaniesz, czy robienie arcydzieł, których nikt nie dostrzeże - mówi MARIUSZ GRZEGORZEK, rektor PWSFTViT w Łodzi.**

**Bogdan Sobieszek: - Rok temu skończył pan 50 lat...**

Mariusz Grzegorek: - Wywołało to u mnie panikę. Kiedy miałem 20 lat, nie opuszczało mnie przeświadczenie, że mam jakąś misję, a moim powołaniem jest robienie filmów czy sztuka w ogóle. Teraz nie ma już we mnie takiego spontanicznego wektora, który układa moje życie w harmonijną całość i każdego dnia - a właściwie w nocy, bo ostatnio cierpię na bezsenność - muszę na nowo mozolnie tłumaczyć sobie, co ma sens, dlaczego coś pochłania mój czas i uwagę, a coś innego nie. Z jednej strony mam to depresyjne poczucie przedwcześnie umierającej istoty, która może w życiu za mało zrobić, że może te trzy filmy i kilkadziesiąt przedstawień teatralnych to za mało. Z drugiej strony mówię sobie, że przecież nie muszę być Leonardem da Vinci, nie muszę zostawiać skarbów dla potomności. No i dopada mnie dygot. Jestem rozdarty między potrzebą uspokojenia wewnętrznego, ułożenia sobie życia w możliwie harmonijny sposób, bez ciągłego wyznaczania zmistyfikowanych, moim zdaniem, celów, które mają stanowić o mnie, a lękiem, że życie przecieka mi przez palce. Ale wbrew dramatycznemu opisowi, to nie jest chyba stan obcy świadomej istocie ludzkiej.

**Skąd więc decyzja o kandydowaniu na stanowisko rektora Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej?**

To próba wzięcia się za mordę, postawienia do pionu i powiedzenie sobie: „Mariuszku, weź odpowiedzialność za coś konkretnego - nie za siebie, nie za Oscary, których nie dostaniesz, czy robienie arcydzieł, których nikt nie dostrzeże. Sprawa jest prosta: od dwudziestu paru lat mieszkasz w Łodzi właściwie dlatego, że jesteś związany ze szkołą filmową i coś ci się w tej uczelni nie podoba, i ciągle jęczysz. No to może spróbuj coś wreszcie zmienić. Konkretnie. Wziąć odpowiedzialność”.

**Tylko że to niewiele ma wspólnego z uspokojeniem...**

Ale jest zmianą kierunku, zakotwiczeniem, posmakowaniem czegoś nowego. Przez 25 lat byłem freelancerem. Zazwyczaj wszyscy do mnie mówili: „Mariusz, ty masz taką wyobraźnię, ty jesteś taką osobowością, to jest twój potencjał, jesteś artystą osobnym”. A ja poczułem się zmęczony tą osobowością. Zateśniłem za sytuacją, która by mnie zmuszała do bardziej zdyscyplinowanego funkcjonowania w rzeczywistości. Wzięcie odpowiedzialności za miejsce, które jest dla mnie ważne, wydało mi się czymś istotnym i intrygującym. Rektor kojarzy się z urzędnikiem, który siedzi w gabinecie i podpisuje jakieś papiery i wielu martwi się z fałszywą troską w oczach: „Mariuszu, czy ty teraz będziesz tworzył?” Często mam wrażenie, że myślą nie bez satysfakcji, że oto Grzegorek się skończył, będzie organem sprawującym władzę i to jest cała prawda na temat jego niezależności i jego wielkiej sztuki. Taki układ mnie nawet kręci. Jestem silną osobowością i wiem doskonale, że będę dalej reżyserował. Założyłem sobie jednocześnie, że ten rok akademicki poświęcę wyłącznie pracy w szkole. Nie mogę stać w rozkroku i np. robić złe przedstawienie, bo nie mam na to czasu dlatego, że jestemrektorem, albo źle rektorować dlatego, że muszę zrobić dobre przedstawienie.

**Zna pan szkołę jak własną kieszeń. W 1989 roku, jeszcze w czasie studiów, zaczął pan prowadzić zajęcia ze studentami. Co chciałby pan tu zmienić?**

Ta wiedza okazała się złudna, bo wiele zależy od perspektywy, z jakiej się patrzy. Chcę pokazać, że pojawił się człowiek, który bierze odpowiedzialność za szkołę. Bo jako naród nadwiślański mamy z tym kłopot. Idę do cukierni, a cukiernik nie bierze odpowiedzialności za to, żeby ciastko było smaczne, a sprzedawca - żeby ciastko było świeże. To są drobne rzeczy, ale składają się na poczucie, które miałem również à propos szkoły filmowej, że choć koła się kręcą i wszyscy mówią: „ja jestem,

ja działam”, brakuje gospodarza, który wzięłby młotek i dosunął te koła, powodując, że zaczną trybić, zazębiać się i wreszcie stworzą mechanizm, który działa. Szkoła – bardziej niż mi się wcześniej wydawało – okazała się wielką państwową instytucją, takim wielorybem wyrzuconym na brzeg. Rozrosła się w niekontrolowany sposób, powstały nowe, niepotrzebne kierunki. Nauka powinna tu być oparte na zasadzie relacji mistrz – uczeń, a nie może być dwustu mistrzów i dwa tysiące uczniów, bo wtedy działalność zamienia się w produkcję masową i anonimową. Jest wiele konkretnych spraw do załatwienia, ale najważniejsze przy podejmowaniu decyzji o kandydowaniu na stanowisko rektora było, czy sam ze sobą się zgodzę na to, czy zechcę podjąć się tego zadania i wezmę odpowiedzialność. Nie, czy dam radę. Jestem człowiekiem teatru, a teatr to jest front, trzecia wojna światowa. Radzenie sobie z sytuacjami kryzysowymi jest codziennością. Nie boję się więc kierowania ludźmi, podejmowania decyzji i wyrabiania sobie poglądu na różne sprawy.

### **Wróćmy do listy priorytetów. Jedną z ważniejszych spraw do załatwienia jest pewnie wyposażenie budynku nowych mediów, który na razie stoi pusty?**

Dzięki temu budynkowi szkoła zyskała dodatkową przestrzeń dla studentów. W żadnym razie nie jest pusty. Fotografia ma tu swoje pracownie, atelier. Animacja przeniosła się z klatek, gdzie trudno było pracować. Swoje miejsce zyskało też bezdomne dotąd scenariopisarstwo. Pozostaje oczywiście problem wyposażenia w zaawansowany technologicznie sprzęt. Będziemy go rozwiązywać długofalowo, bo wymaga olbrzymich nakładów finansowych. Złożyliśmy więc wnioski o granty wszędzie, gdzie tylko się dało: m.in. do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Urzędu Marszałkowskiego, uruchamiamy program współpracy studentów polskich i norweskich dotyczący tzw. digital design, w ramach którego będzie możliwy zakup urządzeń do obróbki cyfrowej. Chodzi o to, żeby szkoła została wyposażona w kompletny technologiczny ciąg cyfrowy, dzięki któremu będziemy mogli skanować nasze archiwalia, bieżącą produkcję, robić w szkole korekcję barwną i montaż oraz efekty komputerowe, a wreszcie kopie cyfrowe, które coraz częściej zastępują w kinach celuloid. Do tej pory robimy to, wykupując usługi w firmach zewnętrznych.

### **Jak zamierza pan wzmacniać model pracy ze studentami oparty na relacjach mistrz - uczeń?**

To jest bardzo trudne, bo trzeba mieć mistrzów, z którymi jest kruch. Często też okazuje się, że nie są mistrzami w kontaktach z młodymi ludźmi, brakuje im uporządkowania własnego doświadczenia i umiejętności klarownego przekazania go. Z drugiej strony te relacje muszą mieć formę regularnych spotkań, być rodzajem długofalowego warsztatu i tu mam problem z dyscypliną pracy niektórych artystów. Sytuacja jest wtedy delikatna, bo z mistrzami trudno się negocjuje. Cały czas rozglądam się w poszukiwaniu osób, które mogłyby zasilić naszą kadrę. Zależy mi na kimś, kto przyszedłby tu na dłużej i miał ochotę wypracować własną metodę pedagogiczną. Ale jest też kłopot ze studentami. To pokolenie jest dla mnie jakimś kosmicznym zjawiskiem, trudno rozpoznawalnym. Często mam do czynienia z ludźmi, którzy, przepełnieni dobrą wolą, nie są w stanie przyjść na 11, nie wiedzą, czy uda im się na 12. Nie są w stanie zrobić pracy w styczniu, ale też nie wiedzą, czy zrobią to w lutym, w ogóle nie wiedzą, kiedy to zrobią. Kompletnie załamanie dyscypliny, która przecież w branży filmowej jest czymś podstawowym. Pewnie pan spyta, co wobec tego robimy na egzaminach wstępnych? Czasami zdaje 180 kandydatów i trudno wskazać wśród nich osiem osób, które szarpnęłyby mnie za serce i za umysł, żebym miał przekonanie, że oto wchodzi do szkoły ktoś, kto będzie miał w przyszłości coś ważnego do powiedzenia w polskim kinie. Połowa studentów to inteligentni i wrażliwi ludzie, ale pogubieni, bez dyspozycji reżyserskich. Na szczęście trafiają się wyjątki.

### **Szkoła powinna zatem uczyć warsztatu czy może szlifować diamenty?**

Nie ma tu albo, albo. Warsztat jest niezwykle istotny, ale tylko wtedy, gdy będzie służył nam do opowiadania o swoim świecie. Ta szkoła ciągle jeszcze jest oazą kina autorskiego i staram się ten aspekt wzmacniać dlatego, że coraz mniej miejsca jest na to kino w polskiej rzeczywistości. Nakręcić kolejny odcinek „M jak miłość” można się nauczyć w ciągu dwóch tygodni, bo to rodzaj schematu. My natomiast chcielibyśmy ocalić film jako sztukę, więc potrzebujemy artystów, którzy będą mieli swój świat, swoją wizję, talent i charakter pisma, i będą go skutecznie używali. Tego bardzo pilnuję. Wpędzam studentów w depresję, bo usiłuję wymagać więcej niż oni by sobie życzyli i

nie odpuszczam. Chodzi o narzucenie pewnych standardów. Moim celem nie jest dołowanie ich, pokazywanie, że nie umieją, ale raczej skłonienie do zastanowienia nad tym, co robią, po co tutaj są i co chcieliby w przyszłości zdziałać.

**Wydaje się, że z polskim kinem ostatnio jest trochę lepiej. Pojawiło się więcej ciekawych tytułów. Czy to znaczy, że również szkoła ma w tym swoją zasługę?**

Uważam, że kino polskie nie jest w zbyt dobrej formie. Poprawiło się finansowanie produkcji i zwiększyła liczba filmów. Jednak, z mojego prywatnego punktu widzenia, brakuje kina autorskiego, szalonego, niepokornego, które byłoby odpowiednikiem np. „Holy Motors” Leosa Caraksa czy filmów Carlosa Reygadasa. Mam ciągle wrażenie, że jesteśmy takimi paniusiami, które zachwycają się na przykład tematem okrucieństwa po wojnie i miłości skazanej na niespełnienie. Przy ogromnym szacunku: „Róża” to po prostu sentymentalna i dość schematyczna historia, wiadomo, że wybitnie zagrana i znakomicie zrealizowana, ale bardzo XIX-wieczna. Brakuje mi kina, które pokazywałoby, że w tym kraju jest również jakiś ferment ducha i adekwatny do niego ferment formy. Wszelkie próby tego rodzaju, jeśli zaistniały, skazane są na niebyt, spychane do getta – „to takie dziwne, więc o tym nie rozmawiamy, a zajmijmy się tym pięknym filmem, jak brat z bratem nie mogli się porozumieć, tym pięknym (albo obrzydliwym – w zależności od reprezentowanej opcji) filmem o tym, że musimy rozliczyć polsko-żydowskie winy”. Zamieszanie wokół „Pokłosa” to przykład dyskusji, w której prawie w ogóle nie ma mowy o filmie.

**Parę miesięcy temu widziałem na tablicy informacyjnej w budynku reżyserii zaproszenie do śledzenia „Dnia z Mariuszem Grzegorzkiem” w TVP Kultura oraz do obejrzenia filmu „Królowa aniołów”. Zaciekało mnie końcowe zdanie w stylu: „Przekonaj się, że i rektor nie robi arcydzieł”...**

To ja napisałem. Chodziło o prawidłowe ustawienie relacji. Bardzo lubię „Królową aniołów”, ale zdaję sobie sprawę z tego, że ten film wielu ludziom może się nie podobać. Wywiesiłem plakat nie dlatego, że mam takie ego. Pomyślałem, że skoro zostałem właśnierektorem, to może dobrze by było, żeby studenci zobaczyli, poświęcili uwagę temu, co mówię i co zrobiłem. Dopisek był po to, żeby młodzi ludzie się nie najeżyli. Niech zobaczą i sami sobie wyrobią zdanie. Zachęcałem do wolnego spojrzenia, bez napinki.

**No właśnie, jak pan ocenia swoją twórczość - trzy tytuły w ciągu blisko 20 lat - „Rozmowa z człowiekiem z szafy” (1993), „Królowa aniołów” (1999) i „Jestem twój” (2009)?**

W ogóle nie oceniam. Ja już z tymi filmami się pożegnałem, bo nie jestem typem artysty onanisty. Nie za bardzo lubię wracać do tego, co zrobiłem, pochylać się nad tym, analizować, czy to było dobre, czy niedobre. Staram się nie robić filmów tylko po to, żeby udowodniać innym, że jestem czynnym twórcą, że liczę się w branży. Wolę pracować w teatrze niż w filmie i tam zaspokajam potrzebę tworzenia. Co nie znaczy, że nie chcę robić filmów i pewnie, jak Bóg da, zrobię jeszcze parę. Nie uznaję podziału na reżyserów filmowych i teatralnych.

**Powiedział pan jednak, że jest człowiekiem teatru...**

W tym sensie, że podoba mi się kodeks, który obowiązywał jeszcze niedawno w teatrze, czyli: umawiamy się, że teatr jest najważniejszy na świecie. I albo się na to zgadzasz i zostajesz, albo nie i odchodzisz. I nie ma dyskusji. To jest priorytet, daje poczucie głębokiego sensu. Jeżeli komuś umiera matka, to nie oznacza, że on może się zwolnić z grania przedstawienia następnego dnia. Działa tu obowiązek wobec wspólnoty, jakieś sacrum. To, co powstaje na naszych oczach na scenie, jest cudem i bardzo w to wierzę. Lubię pracować w środowisku, które ma ustalone priorytety. A teatr niewinny, bez indoktrynacji, jest czymś pięknym. W tym sensie nie jestem człowiekiem filmu – jakiegoś takiego burdelu na kółkach, ciągłego mówienia o pieniądzach: „A ile to będzie kosztowało? Czy się zwróci? A ile dni zdjęciowych, 21 czy 20?” Przerzycie się przez ten opór materii wymaga skóry nosorożca, żeby ocalić w sobie twórczą energię i, gdy już dojdzie do realizacji filmu, przelać ją na ekran. Kiedy byłem młodszy, trudniej mi było zdystansować się do tego wszystkiego. A już w szkole nas straszono: „zobaczycie, wy filmu nie zrobicie, pieniędzy nie dostaniecie”. Miałem poczucie, że jestem outsiderem i teraz będę musiał udowodniać i się przebijać, brać udział w głupich rozmowach, kiwać głową, mówiąc z uśmiechem: „ależ oczywiście, ma pan rację, przemysłem

to, postaram się zmienić”, podczas gdy mój rozmówca pieprzy jak pogięty i w ogóle nie ma racji. To mnie przerastało. Nie umiałem zrozumieć, że to jest rodzaj gry, przez którą trzeba przejść, żeby zyskać swoje. To była dla mnie operacja na otwartym sercu i po takich trzech rozmowach przez rok dochodziłem do siebie.

**Jakie plany twórcze ma rektor, kiedy już będzie miał więcej czasu?**

Plany teatralne mam ułożone na trzy sezony do przodu, ale na razie cicho sza. Jeśli chodzi o kino, ciągle się miotam między skrajnie bezkompromisowym projektem dla „koneserów” a zrobieniem bardzo konwencjonalnego filmu kryminalnego o seryjnym mordercy. Żeby z jednej strony brał za mordę i realizował wszystkie gatunkowe wymogi, a z drugiej strony, żeby całkowicie rozsadzał konwencję i dawał zupełnie inną perspektywę (o czym każdy marzy, a nikt nie potrafi zrobić).

**Pochodzi pan z Cieszyna, ale wydaje się pan być mocno zakorzeniony w Łodzi, choć z tego miasta artyści przecież uciekają...**

Mam bardzo ambiwalentne uczucia dotyczące Łodzi i to nie jest stan łatwej miłości. Wielokrotnie chciałem stąd wyjechać. Wierzę jednak, że los kieruje naszymi ścieżkami i że trzeba się z tym zgodzić. Założyłem w Łodzi rodzinę. Mam syna, który studiuje tu prawo, bo nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Nie chciał też zajmować się filmem. Kontestuje tradycję rodzinną, uważa, że to są fanaberie. Jest człowiekiem konkretnym i nie będzie robił z siebie pajaca. Dzieje się tak pewnie dlatego, że wychował się w bardzo dziwnym domu i potrzebuje jakiegoś osadzenia w rzeczywistości. A Łódź, niestety, nie rozpieszcza nas. Ma bardzo silną energię, która działa jak miecz obosieczny: fascynuje i dołuje. Denerwuje mnie jej prowincjonalizm, brak wiary we własny potencjał. Tym miastem trzeba się opiekować z wiarą i czułością, i odpowiedzialnością. Ja się staram.

Fot. Natalia Kalisz